

Czarownicą byłam tylko raz

Z ANNA DYMNA, aktorką, prezes Fundacji Mimo Wszystko, pomagającej osobom niepełnosprawnym, o cierpieniu, szczęściu i normalności rozmawia Katarzyna Kachel

- Jest Pani przesadna?

- Bardziej przewrotna. Lubie, gdy trzynasty wypada w piątek, a czarny kot, który przebiega mi setki razy drogę, przynosi szczęście. Ale...

- Ale?

- Ale kamień, który dostałam od Dymnego 40 lat temu, wciąż noszę w torebce. I gdy go zapomnę, czuję jakiś niepokój.

- Przywiązuje się Pani do przedmiotów?

- Do wszystkiego. Do miejsc, przestrzeni, opowieści, ludzi, książek. Wie pani, jak sobie kupię nowe buty, to z nimi śpię (śmiech). Ale to żadne przesady. Po prostu zawsze tak się cieszę z „małych” rzeczy. Przyzwyczajam się także do drzew i zwierząt. One do mnie też. Moja ukochana kociczka Czacza jest ze mną już 16 lat. Ostatnio udaje, że cierpi na Alzheimera. Karmię ją o szóstej rano, a rudzielec przychodzi o siódmej i mówi mi: ja przecież jeszcze nic nie jadłam, nakarm mnie. Robi mnie, spryciara, w konia.

- Wierzy Pani w przypadki?

- Wierzę, że wszystko dzieje się po coś.

- Cierpienie też?

- Jeżeli istnieje, to na pewno po coś, choć często nie mogę go pojąć.

- Jest w nim jakiś sens?

- Ludzie chorzy szukają go i znajdują. Często czują się w szczególny sposób wybrani do jakiejś ważnej misji, odbijają się od cierpienia i odkrywają w sobie nieznanne siły, czują się jakby uwolnieni, oczyszczeni i nagle inaczej patrzą na świat, odnajdują sens, radość tam, gdzie wcześniej nic nie widzieli. Często nie rozumiem do końca tego wszystkiego. Kiedyś chłopak sparaliżowany, na wózku, mówi mi: „Gdyby nie ten wypadek, byłbym potworem, a tak jestem całkiem dobrym człowiekiem”. Złe doświadczenia bardzo dużo potrafią ludziom dać. Ale też mogą całkiem zniszczyć. Szczególnie, gdy człowiek jest samotny.

- A w Pani przypadku?

- Gdy miałam najgorsze wypadki, byłam sama, bez męża. Ale byłam młoda, miałam teatr, czekały na mnie filmy, czułam się potrzebna.

- Były chwile załamania?

- Pamiętam tylko jeden moment, kiedy po ciężkim wypadku, nie miałam chęci do życia. Podczas rehabilitacji w basenie obok mnie szczebiotały dwie dziewczyny. Śmiały się głośno, a ja wtedy poczułam do nich coś strasznego: żal i pretensje, że są szczęśliwe. I nagle one wychodzą z wody i widzę, że jedna nie ma dwóch nóg, druga jednej. To był ten moment zwrotny. Zrobiło mi się strasznie wstyd. Zrozumiałam, jak mimo wszystko jestem szczęśliwa. Niby nic się nie stało, ale od tej pory doceniam to, co mam. To, że budzę się rano, mam dwie nogi, dwie ręce i mogę oddychać.

- Pani spotkanie z osobami niepełnosprawnymi to w takim razie też nie przypadek?

- Przypadek, który miał się stać, czyli nie przypadek. Jako aktorka, z racji zawodu, od zawsze zajmowałam się człowiekiem. Ten zawód nauczył mnie kontaktu z ludźmi, rozumienia ich, empatii. Aktorzy potrafią patrzeć głębiej, dalej. Gdybym nie była aktorką, nie odważyłabym się chyba na to spotkanie.

- Była Pani przestraszona?

- Byłam, bo nigdy wcześniej nie znałam takich osób. A z drugiej strony, byłam też trochę rozpieszczona. Przecież wszyscy mnie znali, oglądali „Nie ma mocnych”,

„Znachora”, „Barbarę Radziwiłłównę”. Byłam kimś publicznym i gdy zaczynałam z kimś obcym rozmowę, od razu miałam dodatkowe punkty, kredyt zaufania i sympatii. Z drugiej jednak strony, wiedziałam, że ci ludzie już na starcie mieli o mnie wyobrażenie, które zbudowali, obserwując mnie na ekranie. I wcale nie chcieli słuchać, co tak naprawdę mówię i myślę. Nie interesowało ich to. I to było okropne. Nawet nigdy nie wiedziałam, czy się podobam mężczyznom naprawdę, czy tylko adorują mnie, bo jestem ta z ekranu. Gdy poszłam raz na sylwestra publicznego, siedziałam prawie całą noc sama jak kolek, bo wszyscy się bali do mnie podejść. Dopiero po czwartej rano, kiedy podpiłi sobie i zrobili zakłady z kolegami, prosili mnie do tańca.

- Z osobami niepełnosprawnymi było inaczej?

- Czulałam się jak na obcej planecie. Nie traktowali mnie jak gwiazdę, bo przecież nie znali mnie z telewizora. Dla nich byłam ja, człowiek, Ania, nieaktorka. To było niesamowite i najpiękniejsze uczucie. I potem pokochali mnie za to, że z nimi jestem, a nie za wyobrażenia. To był taki sprawdzian człowieczeństwa, który nadal trwa. Dlatego uwielbiam do nich jeździć, bo wśród nich nie stosuje się żadnych manipulacji, nie ma wyrachowania. Jak cię ktoś potrzebuje i czuje się samotny, to się przytuli, jak chce płakać, całą obleje cię łzami. Tam właśnie są normalni ludzie z ludzkimi odruchami. Paradoksalne, ale niepełnosprawne osoby są bardziej normalne niż zwykli ludzie.

- Bardziej empatyczne?

- Wielu z nich nie może nawet wyrażać swoich myśli. Ale im bardziej nie zdają sobie z pewnych rzeczy sprawy, tym mocniej je czują. To bardzo wrażliwi ludzie. Pamiętam takiego chłopaka, który zawsze mówił jedynie półsłówkami. Wydawał się wesołym chłopakiem, który nie wie, co się wokół niego i z nim dzieje. Pewnego dnia tak strasznie zaczął przy mnie płakać. Pytam się, co się stało, a on całkiem normalnie, pełnym zdaniem, mówi: „Ania, ja mam tego wszystkiego dosyć. Nie chcę takiego życia”. To mną wstrząsnęło. Myślałam, jak ten chłopak sformułował to zdanie, skoro nigdy wcześniej nic nie mówił? Teraz myślę, że to nie jest tak,

Gdy poszłam na sylwestra publicznego, całą noc siedziałam sama jak kolek. Wszyscy bali się do mnie podejść...



że oni nie zdają sobie sprawy z tego, co się z nimi dzieje. Oni nie potrafią tego wyartykułować, ale to czują. I to właśnie oni uczą mnie języka uczuć.

- Są bezpośredni?

- Niektórzy z pełnym zaufaniem lgną do każdego, kto się do nich uśmiechnie, innych trzeba oswajać całymi miesiącami. Mam kilku podopiecznych, którzy stali wiele dni z boku i tylko mi się przyglądali. Długo musiałam czekać, aż będą ich mogła przytulić.

- Dużo się można od nich uczyć?

- Bardzo. Przy nich widzisz, jak ukrywasz swoje prawdziwe uczucia, jak manipulujesz danymi sytuacjami, jak wiele razy robisz coś po coś. Patrząc na nich, uczę się siebie. Przykład? Odkąd pamiętam zawsze po premierze mam w sobie takie potworne napięcie, że muszę iść do toalety i poryczeć sobie. I marzę, żeby wtedy ktoś przyszedł, przytulił mnie i powiedział: „Aniu, uspokój się, dałaś rady”. No, tak już mam. Ale nie pójde przeciw do Janka Klaty czy Piotra Ciepłaka i nie zapytam: „Dobrze było, do-

brze żagałam?”. Bo po prostu mi nie wypada. A moi podopieczni, gdy z nimi robię spektakl, zanim zejdą ze sceny już krzyczą: „Dobrze Ania, dobrze?” (śmiech). Mam takiego cudownego artystę, Jasia, który grał Chrystusa w drodze krzyżowej. I za każdym razem, gdy upadał pod krzyżem, zanim zdążył wstać, już krzyczał z uśmiechem: „Dobrze?”. Dlatego po spektaklu zawsze muszę znaleźć czas, by każdemu powiedzieć: byłeś wspaniały... bo oni są naprawdę niezwykli, nawet gdy tylko stoją na scenie.

- My przecież też tego potrzebujemy.

- No właśnie, ale społeczne, kulturowe czy też inne względy nie pozwalają na to. Nie będę krzyczeć ze sceny do reżysera: „Dobra jestem?” i czekać aż mnie przytuli. Muszę też potrzebę w sobie stłamsić, bo mi nie wypada. Ale będąc z moimi niepełnosprawnymi, zdaję sobie sprawę, jak wiele mamy potrzeb, które w sobie dusimy.

- Hamulce?

- Właśnie. Przecież musimy je mieć. Chociaż na szczęście mam wiele współ-

nego ze swoimi podopiecznymi. To chyba dlatego, że zawsze kieruję się intuicją i ona mnie nigdy nie zawiodła. Parę razy w życiu zrobiłam coś przeciwko niej, choć mi coś mówiło: nie rób tego. I za każdym razem bardzo słono za to zapłaciłam. Mam też taką cechę, że jeśli coś się w moim życiu zapęta - i ja to czuję - nie brnę dalej, przerywam to. Mój syn mówi mi: „Ty jesteś jak oni”. Odruchowa. Tak więc ja, na szczęście, jestem gdzieś do nich podobna. Życie nie zabiło we mnie odruchów. Ale nauczyło też włączać rozum i hamulce w odpowiednim momencie.

- To pomaga?

- Oczywiście. My, kobiety, jesteśmy inaczej biologicznie skonstruowane. Bo my rodzimy dzieci i musimy mieć w sobie odruchy samicy broniącej małych. W chwilach zagrożenia mamy bardzo dobry mechanizm ocalenia. Mamy silną intuicję, która pozwala nam chronić i nie dopuścić do tragedii czy katastrofy. Drobne kobiety znajdują nagle w sobie siły lwicy. Możemy tę intuicję w sobie zabijać albo rozwijać.

- Od czego to zależy?

- Jestem przekonana, że duży wpływ ma na to dzieciństwo. To właśnie wtedy kształtują się nasze podstawowe odruchy i zdolność wyborów. To wtedy wybierasz drogę i ruszasz nią, a twoja intuicja i rodzice podpowiadają ci, czy dokonujesz złych czy dobrych decyzji. Możesz iść w lewo, prawo albo prosto. Po lewej będziesz miał np. łatwe i przyjemne życie, gdy skreślisz w prawo - pieniądze i świat, który z pozoru wydaje się dobry i ciekawy. Jeśli jednak pójdziesz prosto, wybierzesz ten właściwy kierunek. Twój. Intuicja to twoja wolność.

- Także przy wyborze ról?

- Jeśli aktor ma oddać całego siebie postaci, którą ma grać, to jak może to robić, gdy w nią nie wierzy. Tak zostałam nauczona i ufam zawsze moim odczuciom i przecuciom. Wiem, kiedy to nie jest moja rzeka i wiem, że jak wejde, to się utopię.

- Dużo Pani śni?

- Bardzo dużo, prawie co noc i niektóre sny powtarzają się od 40 lat. Te same przestrzenie, napięcia.

- Złe sny?

- Różne. Bywają piękne i radosne. Są też męczące i przykre. W nich przeżywam zawsze to, co dzieje się na jawie, tyle że w innych wymiarach i przestrzeniach. Zawsze są kolorowe i jest ich bardzo dużo. Czasem na jawie zdarzają mi się śmieszne sytuacje, których nie rozumiem.

- Na przykład?

- To nic ważnego, ale w szkole średniej miałam kolegę, Józka. Straciliśmy później kontakt, minęło z 20 lat, nie myślałam o nim w ogóle. I pewnego dnia budzę się rano i nie wiedzieć czemu, myślę o Józku. Za kilka godzin w tramwaju rzuca się na mnie z radosnym powitaniem jakiś ksiądz. Patrzę, a to właśnie mój Józek. Czasem o czymś myślę, choć nie mam żadnego powodu i to się dzieje. Nie umiem tego wytłumaczyć. Mam czasami tak w kuchni: kroję i widzę, że leci krew i się ucięłam. Patrząc, nic mi nie jest, więc kroję dalej i nagle ciach. Krew. Nie umiem tego w sobie postrzymać. Widzę wcześniej zdarzenia, które mają nastąpić. Na szczęście błahe i nieważne. Czarownicą byłam tylko raz, w „Mistrzu i Małgorzacie”. Po ziemi stąpam twardo i przytomnie, choć lubię nosić coś na szczęście. Na przykład uśmiech.